

Historię traktuję jako proces

Spór naukowy jest pożądany

Rozmowa z prof. Czesławem Osękowskim, historykiem i politologiem, dyrektorem Instytutu Historii, laureatem nagrody historycznej „Polityki”

Panie Profesorze, trzeba przyznać, że ubiegły rok przyniósł Panu liczne dowody uznania dla własnego dorobku naukowego. W lipcu debrał Pan nominację na stanowisko profesora zwyczajnego, w październiku otrzymał Pan nagrodę ministra. W grudniu – został Pan laureatem nagrody historycznej „Polityki”, wyróżnienia wyjątkowego, które ten opiniotwórczy tygodnik przyznaje za wybitne osiągnięcia twórcze, a o takich laurach marzy się każdemu historykowi bodaj bardziej niż o nagrodzie ministra. Bo nie dość, że przyznają ją najwybitniejsi współcześni historycy, to dorobek upowszechnia poczytne, liczące się pismo. Czym stała się dla Pana ta nagroda?

- Nagroda jest rzeczywiście bardzo prestiżowa. Nie ukrywam, że było mi bardzo miło, tym bardziej iż konkurencja była ogromna. Prace oceniało grono najwybitniejszych polskich historyków. Każda książka była recenzowana przez trzech profesorów, co stanowiło poważną selekcję. W ostatecznym postępowaniu głosowanie było tajne. Nagroda jest zwieńczeniem kilku lat pracy. Jednocześnie otwiera duże możliwości naukowe. Po uzyskaniu nagrody otrzymałem ze strony kilku

poważnych wydawnictw propozycję napisania książek. Najbardziej interesujące wydają mi się dwie oferty napisania książek dotyczących historii Polski lat 1944-1948 oraz ostatniej dekady PRL, tj. lat 1980-89. Pomijam wiele propozycji opracowania recenzji, mniejszych i większych artykułów oraz zaproszeń na konferencje naukowe. Pragnę jednak dodać, że również przed otrzymaniem nagrody „Polityki” aktywnie uczestniczyłem w życiu naukowym i zawsze miałem więcej propozycji niż byłem w stanie zrealizować.

Pana dyscyplina naukowa to historia najnowsza – powszechna, ale w szczególności polityczna Polski. Co skłoniło Pana do uprawiania tej specjalności badawczej, a pytam o to, bo przecież powszechnie wiadomo, że ten okres dziejów podlegał mistyfikacyjnej obróbce faktograficznej i ideologicznej dysponentów władzy państwowej. Historyk, jeśli miał w ogóle dostęp do źródeł, to był on ograniczony, a same źródła budziły obawy o swą wiarygodność.

- Od najmłodszych lat interesowały mnie najbliższe okolice. Wychowywałem się w otoczeniu różnych pod względem kulturowym Polaków przybyłych na tzw. Ziemię Odzyskane po drugiej wojnie światowej, zwłaszcza z Kresów, skąd pochodzili również moi rodzice. Wokół pełno było śladów świadczących o niemieckiej przeszłości Gubina i regionu. Stąd moje pierwsze prace badawcze poszły właśnie w tym kierunku. Interesowałem się zwłaszcza procesami społecznymi i politycznymi na Ziemiach Odzyskanych po 1945 roku. Badałem więc wypędzenie i wysiedlenie Niemców, polskie osadnictwo i tworzenie od podstaw struktur państwa polskiego na ponemieckich ziemiach. Tym zagadnieniom poświęciłem pracę magisterską, doktorską i rozprawę habilitacyjną. Sądzę, że moja książka z 1994 roku dotycząca społeczeństwa Ziemi Odzyskanych w latach 1945-1956 jest najlepszą pracą jaką dotychczas opublikowałem. Nawiasem mówiąc, w 1995 roku była nominowana do nagrody „Polityki”, jednak wówczas jej nie uzyskała. Z czasem przeszedłem do badań o zasięgu ogólnopolskim, zająłem się także stosunkami polsko-

niemieckimi.

Historię traktuję jako proces, nie zaś sumę pojedynczych faktów. Gdy natomiast rozpatrujemy konkretne zdarzenie, trzeba je analizować możliwie szeroko, a więc w otoczeniu uwarunkowań społecznych, politycznych, gospodarczych i międzynarodowych. Pociągają mnie zwłaszcza relacje władza – społeczeństwo i sądzę, że we wszystkich moich pracach znajduje to mniejsze lub większe odzwierciedlenie.

Ograniczony dostęp do źródeł archiwalnych do 1989 roku stanowił najpoważniejszą przeszkodę w pracy naukowej. Nie było wiadomo czy fakty, o których się pisze mają takie samo odzwierciedlenie w zasobach archiwalnych. Sytuacja potwierdziła się po 1989 roku, kiedy otwarto archiwa i można było wątpliwości te skonfrontować. Często trzeba było weryfikować wcześniej podawane fakty, uzupełniać luki w wiedzy historycznej i w konsekwencji odmiennie interpretować powojenną rzeczywistość Polski.

Badacz dziejów najnowszych musiał mieć też obawy o swą reputację zawodową. W tym okresie ograniczonej suwerenności narodowej funkcjonowała dość liczna armia dyspozycyjnych historyków, wielu z nich legitymowało się tytułami profesorskimi, występowali często w środkach przekazu i gotowi byli udowodnić i przekonać do wszystkiego, czego chciała władza. A i wszechobecna cenzura niweczyła prawo swobodnej wypowiedzi.

- Większość naukowców zajmujących się historią najnowszą nie przekroczyła granic przyzwoitości. Przed 1989 rokiem powstało wiele wartościowych i obiektywnych opracowań, oczywiście w takim zakresie, na jaki pozwalała ówczesna sytuacja polityczna w kraju. Dodatkowym utrudnieniem w pracy historyka dziejów najnowszych była cenzura. Niektórzy wobec takich właśnie trudności zmieniali obszar swoich zainteresowań badawczych.

Rzeczywiście część historyków publikujących i nauczających przed 1989 rokiem sprzeniewierzyła się wielu wartościom etyki zawodu i interpretowała dzieje Polski, tak jak oczekiwali tego władze. Różne były pobudki



PROFESOR CZESŁAW OSEKOWSKI

ma 50 lat. Ukończył politologię na Uniwersytecie Wrocławskim. Tam też w 1983 roku uzyskał stopień doktora nauk politycznych. Habilitował się w 1995 roku w Instytucie Historii UAM w Poznaniu z najnowszej historii Polski. W 2000 roku uzyskał tytuł naukowy profesora w zakresie nauk humanistycznych. W 2001 roku został profesorem zwyczajnym. Profesor Cz. Osekowski w pracy naukowej zajmuje się historią polityczną Polski w XX wieku, stosunkami polsko-niemieckimi po 1945 roku oraz historią Europy, ze szczególnym uwzględnieniem procesów integracyjnych. Jest autorem ośmiu książek i osiemdziesięciu artykułów naukowych. Dotychczas wypromował czterech doktorów, dwie dalsze osoby mają otwarte przewody. Prowadzi otwarte seminarium doktoranckie z historii politycznej Polski, w którym uczestniczą 22 osoby. Pracę w byłej WSP podjął w 1983 roku. W latach 1994-1999 był zastępcą dyrektora Instytutu Historii ds. naukowych. Od 1999 roku jest dyrektorem Instytutu Historii. Od 2001 roku jest członkiem Senatu Uniwersytetu Zielonogórskiego.

takiej postawy. Część czyniła to z przyczyn ideowych, inni kierowali się występującą wówczas w Polsce koniunkturą i nastawieni byli na czerpanie z takiej sytuacji korzyści materialnych i prestiżowych, jeszcze inni czynili to z miernych indywidualnych zdolności, po prostu dla kariery naukowej i zawodowej.

Wielu historyków po 1989 roku miało przysłowiowego kaca z powodu swoich wcześniejszych publikacji. Niektórzy zaprzestali uprawiania nauki, niektórzy natomiast w obliczu źródeł i nowych możliwości badawczych związanych ze zmianą w Polsce ustroju, odstąpili od głoszonych wcześniej ustaleń. Choć sprawa rozpatrywana wyłącznie z punktu widzenia moralnego nie jest jednoznaczna, trudno jest moim zdaniem odmówić ludziom prawa do badań naukowych w nowych, nieskrępowanych uwarunkowaniach. Zmiana oceny rzeczywistości politycznej Polski sprzed 1989 roku nie jest moim zdaniem czymś koniunkturalnym, pod warunkiem jednak, gdy dokonuje się pod wpływem przesłanek merytorycznych. Sam przeżywałem podobny dylemat i rozdarcie. Dziś wiem, że przed 1989 rokiem myliłem się w ocenie wielu faktów i zjawisk historycznych.

Warto dodać, że już w latach siedemdziesiątych czy też osiemdziesiątych powstawały prace dotyczące najnowszej historii Polski, znacznie odbiegające od narzucanych przez władze badaczom standardów.

Czy były publikowane?

- Opracowania godzące w PRL-owską rzeczywistość nie miały szans na publikację. Część z nich, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych ukazywała się w tzw. drugim obiegu. Dodam, że niezwykle cenne prace dotyczące najnowszej historii Polski publikowano na Zachodzie. Wiele spośród nich trafiało do kraju i stanowiło nie lada gratkę dla badaczy i osób interesujących się dziejami Polski.

A czy teraz, już za demokracji, historia najnowsza jest przedstawiana obiektywnie, czy może część środowiska nadal ideologizuje procesy historyczne, tyle, że w przeciwnym kierunku?

- Warunki pracy historyka po 1989 roku zmieniły się zdecydowanie na korzyść. Zresztą dotyczy to także innych dyscyplin naukowych. Dziś o sukcesie naukowym decy-

dują indywidualne zdolności, pracowitość i, niestety, w znacznym stopniu sprawy finansowe. W przypadku historyka najważniejsze znaczenie ma możliwość korzystania z niedostępnych dotąd dokumentów archiwalnych i likwidacja cenzury. Sądzę, że dziś humanistę obowiązuje jedynie etyka zawodowa i autocenzura. Zdecydowana większość dzisiejszych badaczy historii najnowszej Polski tak właśnie rozumie swoją misję i tak prowadzi badania naukowe.

Zdarzają się jednak przypadki wklania się niektórych historyków w politykę, nierzetelnego przedstawiania powojennych dziejów Polski czy wręcz nadinterpretacji faktów historycznych. Są również historycy, którzy piszą pod zapotrzebowanie określonej opcji politycznej. Jest ich jednak znacznie mniej niż przed 1989 rokiem. Nie oznacza to wcale, że historycy muszą pisać w tym samym tonie, duchu czy też tak samo interpretować PRL-owską rzeczywistość lub proces transformacji w Polsce. Spór naukowy jest moim zdaniem czymś normalnym, a nawet pożądanym, chodzi jedynie o rzetelność i obiektywizowanie faktów, zjawisk i procesów historycznych.

Nagrodzone przez „Politykę” Pana książki – „Referendum 30 czerwca 1946 roku w Polsce” oraz „Wybory do sejmu z 19 stycznia 1947 roku w Polsce” są wszechstronnie udokumentowanym obrazem narzucenia rzeczywistości ustrojowej powojennej Polski. Sfalszowane referendum, a później wybory sejmowe na 45 lat konstytuowały dominację sowiecką, której polskie społeczeństwo było wrogiem. Czy tak się stać musiało? Innymi słowami – czy podział na strefy wpływów w Europie wynikał ze strachu Wielkiej Brytanii i USA przed zawarciem odrębnego układu ZSRR z Niemcami, co mogło pozwolić Stalinowi na osiągnięcie swoich zamierzeń politycznych?

- W 1945 roku wszyscy mieli dość wojny. Mocarstwa zabezpieczyły swoje strefy wpływów i to decyzjami konferencji międzynarodowych, które miały moc obowiązującą zarówno wobec pokonanych państw, jak też krajów słabszych pod względem potencjału gospodarczego i militarnego. Polska znalazła się w strefie wpływów ZSRR, czemu Zachód nie był w stanie, ani też zbytnio nie chciał przeciwstawić się. Z tego faktu wynika późniejszy rozwój sytuacji politycznej w Polsce

i innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Stąd na dziesiątki lat pozostaliśmy poza szeroko rozumianym europejskim kręgiem kulturowym, postepem technologicznym i rozwojem gospodarczym charakterystycznym dla państw Europy Zachodniej już od lat pięćdziesiątych, później ominął nas proces integracji europejskiej.

Jeśli pominiemy emancypację Jugosławii pod rządami Tito, wybudowanie muru berlińskiego i przypadek Austrii, to można orzec, że wybory w Czechosłowacji w 1948 roku ostatecznie opuściły na długie lata „żelazną kurtynę” i spowodowały nadejście okresu „zimnej wojny”, utworzenie NATO i Paktu Warszawskiego, dwóch antagonistycznych bloków militarnych. Czy okres dominacji radzieckiej musiał trwać tak długo? Czy Zachód był w tej sytuacji rzeczywiście bezradny, czy odpowiadała mu równowaga polityczna stworzona układem sił w Europie?

- Powojenne stosunki pomiędzy Wschodem a Zachodem cechowała permanentna rywalizacja na płaszczyznach ideologicznej, politycznej, gospodarczej i wojskowej. Walczono o wpływy w aspekcie globalnym, ale także w poszczególnych regionach świata. Nigdy nie doszło jednak do bezpośredniej konfrontacji mocarstw, która jak sobie wszyscy z tego doskonale zdawali sprawę, zakończyłaby się wojną światową. Co prawda wielokrotnie ścierały się technologie i myśl wojskowa ZSRR i USA np. w Wietnamie, Afganistanie i na Bliskim Wschodzie, nigdy jednak nie stanęły naprzeciwko siebie w bezpośredniej walce armie tych państw. Rywalizując nie ryzykowano wojny, walczone o rozszerzenie stref wpływów, tolerując jednocześnie dominację przeciwnika w określonym regionie świata. Zachód przez cały powojenny okres posiadał przewagę ideologiczną i gospodarczą nad ZSRR i jej sojusznikami, co w ostatecznym rozrachunku zadecydowało o wyniku powojennej rywalizacji i upadku komunizmu w Europie Środkowej.

Przedmiotem Pana zainteresowań badawczych są też stosunki polsko-niemieckie, uznawane od kilku lat za co najmniej poprawne, a jeszcze niedawno wręcz modelowo wrogie. Proszę powiedzieć czy tylko klimat polityczny je wyznacza, czy historycy też mają w tej znamiennej poprawie udział?

- Po 1989 roku zostały stworzone polityczne uwarunkowania dla nowej jakości stosunków polsko-niemieckich. Dotyczy to jednak głównie uregulowań traktatowych, opartych o międzynarodowe standardy. Czymś niemal codziennym są dziś kontakty centralnych i lokalnych władz obu państw, dobre są perspektywy współpracy. Można dziś mówić o istnieniu poważnej infrastruktury na pograniczu polsko-niemieckim ułatwiającej wzajemne współdziałanie. Funkcjonują m.in. euroregiony, porozumienia miast i gmin, komisje międzyrządowe i międzyregionalne, kontakty instytucji kulturalnych i oświatowych, towarzystwa gospodarcze.

Nadal jednak w stosunkach polsko-niemieckich istnieje wiele uprzedzeń, trudności i barier. Ciągłe obecne są cienie przeszłości, związane z drugą wojną światową, ludobójstwem i zniszczeniem polskich miast i wsi, zmianą granic i przymusowymi wysiedleniami Niemców z Polski. Choć w ostatnich kilkunastu latach w kwestiach tych powiedziano już wiele, nie wszystko jeszcze zostało wyjaśnione, a tym bardziej wyrównane lub zadośćuczynione. Dotyczy to np. odszkodowań za przymusową i niewolniczą pracę Polaków czy też wzajemne roszczenia w sprawie dóbr kultury.

Przeszkodą w polsko-niemieckich stosunkach jest asymetria potencjałów obu państw. Dotyczy to zwłaszcza szeroko rozumianej gospodarki, infrastruktury oraz codziennych warunków życia ludności. Trudności wynikają również z wzajemnej niechęci społeczeństw obu państw, przy czym wyraźnie większa rezerwa do współdziałania występuje po niemieckiej stronie. Właściwie nie jest to nic nowego. Dla Niemiec Polska była zawsze i pozostaje nadal tylko jednym z wielu europejskich partnerów i to nie najważniejszych. Bardziej liczą się Francja, Włochy, Wielka Brytania czy też Rosja. Dla Polski Niemcy są zaś najważniejszym partnerem, zwłaszcza po zmianach w Europie po 1989 roku i w kontekście integracji europejskiej. Nie wierzę w altruizm strony niemieckiej. Państwo to traktowało – i tak jest nadal – stosunki z Polską z własnej perspektywy. Dobre kontakty z naszym krajem otworzyły polski rynek dla niemieckich towarów, możliwa stała się debata o niemieckim dziedzictwie kulturowym na Ziemiach Odzyskanych, poprzez przyjęcie Polski do NATO zmieniła się optyka bezpieczeństwa RFN – państwo to przestało być granicznym w pakcie na wrażliwym kierunku wschodnim. Niemcy po 1989 roku miały duży wpływ na proces transformacji ustrojowej w Polsce, zwłaszcza w dziedzinie gospodarki i kształtowania się demokratycznych struktur państwa. Polska uzyskała niemiecką pomoc ekonomiczną, której znaczna część skierowana została na wspólne pogranicze. RFN wsparła nasze dążenia do NATO i będzie miała decydujący głos w sprawie przyjęcia Polski do Unii Europejskiej.

Czy historyka spotykają niespodzianki badawcze? Czy były one też Pana udziałem?

- Zajmuję się badaniem procesów historycznych i stąd znacznie mniej ekscytują mnie tzw. informacje sensacyjne. Przyznam jednak, że wiele razy przeglądając dokumenty archiwalne trudno było mi uwierzyć w to, co w nich znajdowałem. Dotyczyło to np. informacji w sprawie referendum z 1946 i wyborów do sejmiku z 1947 roku. Jako pierwszy historyk w Polsce uzyskałem prawo wglądu do dokumentów Departamentu V Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie znalazłem ogrom nowych, nie znajdujących się w obiegu naukowym faktów i danych. To musi człowieka ekscytować, ale jednocześnie mobilizować i motywować do dalszych po-

szukiwań. Zaznaczam jednak, że na sensacyjnych i jednostkowych informacjach nie można budować wiedzy historycznej. Mogą one jedynie wspierać i poszerzać dotychczasowe ustalenia. Często wymagają jednak potwierdzenia w innych źródłach.

W styczniu ubiegłego roku zielonogórskie środowisko naukowe otrzymało pierwsze uprawnienie habilitacyjne. Wprowadzie prawo dostał Wydział Humanistyczny, ale jego zakres (historia) wskazuje na Pana i współpracowników jako autorów tego sukcesu. Dzięki czemu stało się to możliwe, jeśli pominiąć oczywiste wymogi formalne?

- Zielonogórskie środowisko historyków pracowało na prawa habilitowania wiele lat. Wspierały nas w tym także ośrodki akademickie z kraju, w tym zwłaszcza Uniwersytety: Poznański i Wrocławski. Uważam zatem, że to zbiorowa zasługa profesorów i doktorów pracujących i współpracujących z Instytutem, nie zaś pojedynczych osób. Od lat specjalnością Instytutu Historii są badania nad pograniczem i stosunkami polsko-niemieckimi od średniowiecza do czasów obecnych. Jesteśmy dziś na tym polu jedną z najlepszych placówek w kraju. Prace naszych pracowników z tego zakresu są od lat cytowane w Polsce, Niemczech, Czechach i Austrii. Stawiamy w Instytucie na jakość badań i publikacji naukowych. Może zabraknąć nam pieniędzy na tusz, regal czy też papier, ale nigdy na wyjazd do archiwum, na konferencje naukowe, niezbędną książkę i czasopismo naukowe. Utrzymujemy bieżące kontakty naukowe z historykami z całego kraju i kilku zagranicznych uniwersytetów. Uważam, że jesteśmy otwarci na polską i międzynarodową myśl naukową, w stopniu nie mniejszym niż instytuty historii z innych ośrodków akademickich w kraju.

Po części uprawnienia habilitacyjne zostały już „skonsumowane”, bo niebawem Instytut Historii uruchomił studia doktoranckie, możliwe do prowadzenia jedynie wtedy, gdy placówka posiada prawa do nadawania stopnia doktora habilitowanego. Czy takie studia są sprofilowane zakresem tematycznym, czy też indywidualnymi zainteresowaniami ich uczestników?

- Rzeczywiście uprawnienia habilitacyjne otwierają przed Instytutem duże możliwości. Od sześciu lat promujemy doktorów nauk humanistycznych w zakresie historii. Dotychczas swoje rozprawy obroniło u nas dziewiętnaście osób, a dalszych kilkanaście ma otwarte przewody doktorskie. Od roku akademickiego 2001/2002 utworzone zostały studia doktoranckie. W najbliższych latach przewidujemy dalszy rozwój tej formy kształcenia. Nasze studia doktoranckie ogniskują się wokół pogranicza i stosunków polsko-niemieckich na przestrzeni dziejów, a więc tematyki bliskiej naukowemu zainteresowaniu profesorów Instytutu. Korzystamy również z innych uprawnień, które dają nam prawo habilitowania. Zamknęliśmy już postę-

powanie w sprawie o przyznanie tytułu naukowego profesora jednemu z naszych pracowników. Dokumenty po niezbędnym postępowaniu na szczeblu Wydziału Humanistycznego, zostały przesłane do Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułu Naukowego. W marcu br. podejmiemy procedurę w trzech postępowaniach o nadanie stopnia doktora habilitowanego nauk humanistycznych w zakresie historii.

Był Pan członkiem profesorskiego zespołu ekspertów, który przygotował zasady utworzenia uniwersytetu w Zielonej Górze. Czy przyjęta formuła uczelni akademickiej w obecnym kształcie Pana satysfakcjonuje? Jakie nadzieje wiąże Pan z powstaniem uniwersytetu?

- Udział w zespole przygotowującym koncepcję utworzenia Uniwersytetu Zielonogórskiego uważam za zaszczyt. Była to zarazem ciężka i niezwykle odpowiedzialna praca. Powstanie w Zielonej Górze Uniwersytetu jest jednak zasługą całego naszego środowiska naukowego, nie zaś pojedynczych osób. Jest jednocześnie wartością znacznie wykraczającą poza Zieloną Górę, region, a nawet kraj. Na etapie tworzenia Uniwersytetu przyjęta formuła organizacyjna była optymalna. Uważam, że inna nie miałaby większych szans uzyskania akceptacji pracowników byłej Politechniki i WSP. O tym, czy ją zachować zadecyduje czas i sami ludzie.

Uniwersytet funkcjonuje zaledwie pół roku, stąd trudno stawiać jednoznaczne oceny. Uważam jednak, że obok wielu pozytywnych decyzji i dokonań władz uczelni miały miejsce także błędne, które niestety utrudniają integrację pracowników naukowych, administracji i studentów. Nie udało się pokonać, a nawet złagodzić funkcjonującego wciąż podziału „my” – „oni”. Co więcej, pojawiły się dysonanse pomiędzy szkołami, a nawet funkcjonującymi w ich ramach wydziałami. Podłożem są m.in. sprawy finansowe. Nie powinno się moim zdaniem stwarzać sytuacji, w których jedni mogą obrócić się przeciwko drugim, to rodzi kolejne nieporozumienia i uprzedzenia. Prawda jest taka, że jedne instytuty przynoszą Uniwersytetowi chlubę na polu naukowym, inne zaś zajmują się głównie dydaktyką i zarabiają pieniądze. Te dwa obszary nie zawsze dają się pogodzić, stąd rolą władz uczelni jest poszukiwanie tzw. złotego środka.

Niezbyt precyzyjnie określona jest w Uniwersytecie rola poszczególnych szkół. Moim zdaniem droga jest tylko jedna. Szkołom trzeba nadać znacznie wyższą rangę niż ma to miejsce obecnie, oddać rzeczywiste kompetencje finansowe i kadrowe. Dzisiejsze ich funkcjonowanie powoduje, że wiele osób zadaje sobie pytanie czy szkoły w przyjętym kształcie mają rację bytu. Uważam, że w Uniwersytecie należy postawić na naukę. Od niej bowiem zależy rozwój uczelni, poziom dydaktyki, liczba chętnych do studiowania, miejsce we wszelkich rankingach. Instytuty i wydziały powinny mieć możliwości optymalnego rozwoju kadrowego i naukowe-

go, co warunkuje przecież uzyskiwanie praw doktoryzowania i habilitowania. Bez tych uprawnień Uniwersytet nie będzie rozwijać się i nie uzyska autonomii. Jestem jednak optymistą i głęboko wierzę, że uda się pokonać występujące trudności.

Jak Pan Profesor spędza czas wolny od pasji badawczych i powinności akademickich? Co jest przedmiotem Pana szczególnych zainteresowań pozazawodowych?

- Obok historii i politologii największą moją pasją jest sztuka. Czasami zastanawiam się nawet, czy nie równą profesjonalnym obszarom badawczym. Interesuję się zwłaszcza malarstwem polskim i niemieckim XIX i XX wieku. Godzinami czytam o sztuce, oglądam albumy i katalogi, wyszukuję interesujących mnie rzeczy w internecie. Kiedy jestem poza Zieloną Górą, odwiedzam muzea i wystawy. Gromadzę także wszelkie dokumenty dotyczące przeszłości i dnia dzisiejsze-

go Gubina, miasta w którym urodziłem się ja, moja żona i nasze dzieci. Posiadam m.in. spory i bardzo interesujący zbiór widokówek Gubina sprzed 1945 roku. Jak wiadomo miasto to podczas działań wojennych zostało ogromnie zniszczone, stąd mają one sporą wartość historyczną.

rozmawiał Andrzej Politowicz

Nowości wydawnicze

„Samorząd terytorialny” praca pod red. Andrzeja Piaseckiego

Prezentujemy dziś publikację, która powstała w Instytucie Politologii. Jest to pozycja dość niezwykła, bo nieczęsto się zdarza, by materiały przygotowane przez studentów znalazły postać wydawniczą. A opracowali ją seminarzyści *europistyki* (jednej z trzech specjalności prowadzonej na kierunku *politologia*). Pod kierunkiem dra Andrzeja Piaseckiego dziewięcioro studentów zajęło się problematyką ustroju samorządów terytorialnych w państwach Unii Europejskiej. Ich prace poprzedziła gruntowna kwerenda źródłowa (o czym świadczy bibliografia książki), a poziom merytoryczny referatów był na tyle znaczący, że A. Piasecki uznał, że można je wydać w formie książkowej (przy pomocy finansowej Uniwersytetu, co można przeczytać na stronie redakcyjnej publikacji). Utwierdził go w tym Marian Gryta (b. wykładowca KUL, od 1990 r. zawodowo i społecznie związany z samorządem), który był konsultantem tej pozycji i który rzetelnie badał funkcjonowanie samorządu terytorialnego w państwach zachodnich.

Adresatami książki są nie tylko środowiska akademickie (zainteresowała się nią m.in. sulechowska Wyższa Szkoła Admini-

stracji Publicznej), ale przede wszystkim samorządowcy i pracownicy urzędów, którzy kontaktując się ze swoimi odpowiednikami z samorządów w UE, poszukują wszelkich informacji na ten temat.

Jest jeszcze jeden aspekt tego przedsięwzięcia. Otóż studenci, dzięki sumiennym badaniom oraz pracą nad redakcją tekstu (prace pod opieką A. Piaseckiego były wielokrotnie poprawiane i uściślane), uzyskali sporą wiedzę z dziedziny, którą w najbliższych latach będą zainteresowani ich potencjalni pracodawcy: urzędy gminne, miejskie, starostwa powiatowe, urzędy marszałkowskie i inne instytucje samorządowe. Wobec procesów integracji z UE w jednostkach tych w najbliższych latach będzie zwiększone zapotrzebowanie na fachowców od europejskich struktur administracyjnych. Jeśli do tego studenci wykazą się znajomością języków obcych, a może nawet praktyką (opiekun stara się o wyjazd studyjny do UE), to ich szanse na rynku pracy rosną.

Dr A. Piasecki jest przekonany, że książki tej nie udałoby się wydać, gdyby nie łańcuch ludzi dobrej woli. Szczególnie dziękuje prof. Józefowi Korbiczowi, pro-



rektorowi, który dofinansował przedsięwzięcie. Redaktor i opiekun naukowy tej publikacji ma nieśmiałą nadzieję, że z podobną życzliwością spotka się przy organizacji wyjazdu studyjnego.

ap

Samorząd terytorialny, pod red. A. Piaseckiego, Zielona Góra, 2001, s. 127

OD REDAKCJI:

Zapraszamy kierownictwa wydziałów i instytutów oraz wydawnictw naukowych szkół do prezentowania na naszych łamach nowości wydawniczych.